

Roman Mańka • Łukasz Ziaja

DETEKTYW KRZYSZTOF RUTKOWSKI



PORWANIA

DETEKTYW
KRZYSZTOF RUTKOWSKI
PORWANIA

[Kup książkę](#)

Roman Mańka • Łukasz Ziaja

DETEKTYW KRZYSZTOF RUTKOWSKI

PORWANIA



[Kup książkę](#)

Okładka
Fahrenheit 451

Redakcja i korekta
Agnieszka Pawlik-Regulska

Konsultacja merytoryczna
Patrycja Dziadosz

Dyrektor projektów wydawniczych
Maciej Marchewicz

Skład i łamanie
TEKST Projekt

ISBN 978-83-947599-3-3

Copyright © Roman Mańka, Łukasz Ziaja, Krzysztof Rutkowski
Copyright © for Zona Zero Sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydawca
Zona Zero Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. 22 836 54 44, 877 37 35
faks 22 877 37 34

www.zonezero.pl
e-mail: wydawnictwo@zonazero.pl

Spis treści

Wstęp	7
Rozmowa 1	
Rachunek z przeszłości	11
Rozmowa 2	
Grzech pierworodny nowobogackich	41
Rozmowa 3	
Noc poślubna	89
Rozmowa 4	
Bezwzględni gangsterzy	225
Rozmowa 5	
Demokracja na sprzedaż	283

Wstęp

Jaki rodzaj przestępstwa jest najgorszy? Być może ci, którzy doświadczyli aktu kryminalnego na własnej skórze, mają gotową odpowiedź. Ocena napotyka jednak na innego rodzaju wyzwanie, jeśli zapytamy kogoś, komu w dotychczasowym życiu udało się uniknąć napaści, gwałtu, kradzieży czy porwania, nadto nie doświadczyli tychże członkowie ich rodzin. Element subiektywnej oceny jest w tym przypadku mniej istotny, a na plan pierwszy wysuwają się empatia i obiektywizm.

Sprawdźmy zatem:

1. kradzież – jej skutkiem jest strata materialna, w niektórych przypadkach, jeśli towarzyszyła jej napaść, może pozostawić traumę, następstwa dla bliskich są uzależnione od rozmiaru przestępstwa,

2. gwałt – trauma, poczucie poniżenia, być może utrata zdrowia, niechciana ciąża, znaczne obciążenia dla bliskich, ale wciąż większość strat emocjonalnych do nadrobienia.

3. zabójstwo – strata nie do nadrobienia dla rodziny i przyjaciół, trauma, poczucie największej krzywdy i niesprawiedliwości.

Zadałem sobie pytanie, gdzie w tym wszystkim umiejscowić porwanie? Załóżmy najpierw, że jego skutkiem może być szczęśliwy finał bez żadnych strat, straty częściowe tj. ograniczone do konieczności zapłacenia okupu albo odwrotnie znaczne uszczuplenie majątku, śmierć a po drodze gwałt, pobicie. Bez względu jednak na różnice w przebiegu porwania, a także tego do czego porwanie doprowadziło w sferze materialnej, ten rodzaj przestępstwa niesie za sobą jeszcze coś gorszego: poczucie niepewności i długotrwałego lęku. Te emocje towarzyszące zarówno ofierze jak i jej bliskim są rozciągnięte w czasie, przez to bardziej dotkliwe. Często nie wiadomo, co dzieje się z porwaną czy porwanym długie tygodnie, niekiedy całe lata, a przecież zgodnie z dziennikarskim powiedzeniem: „najgorsza informacja, to brak informacji”. Znakomicie wiedzą o tym publicyści Roman Mańka i Łukasz Ziaja, którym zawdzięczamy książkę *Detektyw Krzysztof Rutkowski. Porwania*, autorzy mający wieloletnie doświadczenie w opisywaniu zdarzeń o charakterze kryminalnym i nie tylko.

Jednak do jądra tego, czym jest *de facto* porwanie, z czym ono się wiąże dotarł ten, bez którego publikacja nie miałaby szansy powstać – Krzysztof Rutkowski. Choć wskutek przepisów polskiego prawa, a w zasadzie wyroku sądu, który uniemożliwia dziś nazwanie go detektywem, nikt chyba nie może mieć wątpliwości, że w minionym ćwierćwieczu to właśnie Krzysztof Rutkowski był i jest symbolem tego zawodu. Zazdroścnicy zapewne kręcą teraz głową z dezaprobatą, ale nie zmieni to faktu, że właśnie on był medialną twarzą większości spraw, które elektryzowały i elektryzują opinię publiczną, począwszy od sprawy Olewnika po kazus Madzi. To właśnie do

Krzysztofa Rutkowskiego w pierwszej kolejności dzwonił dziennikarze z prośbą o komentarz, gdy na światło dzienne wychodziły okoliczności kolejnych porwań. Chcąc nie chcąc, pracując nad sprawą jako prywatny detektyw czy tylko ją komentujący Rutkowski zawsze był i wciąż jest w centrum wydarzeń. Tym razem postanowił opowiedzieć z pewnego dystansu o historiach, przy których był blisko, gdy pierwsze emocje opadły. Gdy jednak odrzucamy tę adrenalinę wynikającą z tego, co dzieje się tu i teraz, można zobaczyć więcej.

A teraz wróćmy do meritum: gdzie w kategoriach przestępstw umiejscowić to nieszczęsne porwanie? Nie odpowiem sam na to pytanie, ale opowiem pewną historię:

Młode małżeństwo po pierwszych „chudych” latach pożycia wreszcie zaczęło godnie żyć. Ich kawiarnia przynosiła dochody, dzieci uczyły się dobrze. Udało się nawet ukończyć budowę wymarzonego domu. Mieli zwyczajnie tę odrobinę szczęścia. Pewnego dnia jeden z chłopców nie wrócił do domu. Policja przyjęła zgłoszenie o zaginięciu dzień później. Czekali niecierpliwie na telefon w sprawie okupu. Długo nic. Dostali wiadomość dopiero po tygodniu od zaginięcia. W tym czasie oboje rodzice przechodzili katusze. Młodszy brat powoli zaczynał rozumieć, co się stało. Koszmar miał się jednak skończyć po dostarczeniu paczki z pieniędzmi. Trwa do dziś. Niepewność z czasem przestoczyła się w pesymistyczne przeświadczenie pomieszane ze skrawkami nadziei, która przecież umiera ostatnia. Po utraconej rodzinie, kawiarni i marzeniach.

Które przestępstwo jest zatem najgorsze?

Jerzy Mosoń

Reżyser filmowy, scenarzysta, publicysta magazynu „Radca prawny”, w przeszłości komentator dziennika „Rzeczpospolita” oraz redaktor naczelny magazynu „Gentleman”.

Rachunek z przeszłości

Na przełomie XX i XXI wieku można było zaobserwować w Polsce falę porwań okupowych. Jaka jest geneza wzrostu w tym okresie tego typu działalności przestępczej?

Uprorowadzenia dla okupu są w naszym kraju następstwem bardzo popularnych na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego wieku porwań samochodów spod bram i stacji benzynowych – z kluczykami w środku. Kiedyś towarzystwa ubezpieczeniowe nie wypłacały żadnego odszkodowania, jeżeli samochód został skradziony z dokumentami i kluczykami znajdującymi się wewnątrz pojazdu. Jedy-
nym wyjściem dla okradzionego właściciela był więc wykup samochodu. W tamtym czasie polskie organy ścigania były odcięte od wszystkich zagranicznych informacji, ze względu na podziały geopolityczne ówczesna milicja

nie współpracowała z organami ścigania innych państw, więc szansa, że skradziony samochód zostanie odnaleziony przez stróżów prawa była bliska zeru. Gangsterzy nabierali doświadczenia i umiejętności, podczas gdy śledczy byli bezradni. Po upadku PRL-u liczące się w naszym kraju grupy przestępcze musiały się przeorganizować i zmodyfikować strukturę wpływów. Politycy, policjanci i urzędnicy dotychczas z nimi związani zaczęli tracić swoje pozycje, byli odsuwani od podejmowania decyzji, a przez to bezużyteczni dla grup przestępczych, które chcąc zachować silną pozycję oraz względną przychylność wymiaru sprawiedliwości, musiały pozyskać nowych politycznych sojuszników. To wymagało czasu. W tym okresie mniejsze grupy przestępcze, wcześniej powiązane z potężnymi gangami, próbując się usamodzielnic, zajmowały się różnego rodzaju działalnością przestępczą, m.in. porywaniem ludzi dla okupu.

Wspomniał Pan o mniejszych grupach przestępczych, a kiedy urosła w siłę mafia?

Złotym okresem dla grup przestępczych był stan wojenny, bo wtedy milicja koncentrowała się na walce politycznej, a nie na działalności przestępczości zorganizowanej. W taki sposób urosł w siłę stary „Pruszków” – najsilniejsza wówczas grupa przestępcza kierowana przez znanego i szanowanego we wszystkich strukturach przestępczych Barabasza. W tamtym czasie najczęściej popełnianymi przestępstwami były kradzieże samochodów pochodzących z terenów zachodniej Europy i przerzucanie ich na tereny byłego bloku wschodniego. W pewnym momencie ten biznes przestał się opłacać, ale gangsterzy nie mieli ochoty kończyć swojej przestępczej działalności. Nauczyli się, w jaki sposób można coś porwać, wziąć za to pieniądze, a potem oddać właścicielowi albo jak można porwać

samochód, wziąć za niego pieniądze, a zamiast go zwrócić – sprzedać na fanty. Mieli wiedzę, doświadczenie i kontakty. Wpadli więc na pomysł, że zamiast samochodów będą porywać ludzi. Tylko że z człowiekiem nie za bardzo jest co zrobić, są jedynie dwa wyjścia: można go albo oddać, albo zabić; polskie grupy przestępcze nie miały w tym czasie doświadczenia w sprzedaży ludzkich organów, więc pole ich działalności było ograniczone.

W latach 80. i na początku lat 90. ubiegłego wieku przestępcy byli powszechnie znani. W momencie kiedy milicja przechodziła transformację, miała bardzo poważne braki operacyjne: każdy skupiał się na walce politycznej i zmianie rządu, a nie na rozpracowywaniu grup przestępczych. To było to, co dało bardzo dużą przewagę światu przestępczemu. Co wtedy zrobił resort spraw wewnętrznych, aby aktywnie przeciwko niemu wystąpić? Po kogo sięgnął?

No właśnie, po kogo?

Po Andrzeja Fausta, byłego szefa SB, który stanął na czele grupy ds. walki z przestępczością zorganizowaną. Właśnie po tego faceta, tego z łatką złego esbeka. Sam z nim pracowałem. Zbudował świetny zespół ludzi. Na czele grupy ds. walki z przestępczością samochodową stanął Jurek Pusz, który znał się na tej robocie jak mało kto. Łączyła nas bliska współpraca, przekazywałem im wiele cennych informacji, których sami nie mieli i nie byłoby w stanie zdobyć.

Dlaczego pozyskiwali te informacje właśnie od Pana?

Wiedzieli, że znam się na robocie. Miałem też jeszcze jedną przewagę – mieszkalem wtedy w Wiedniu. W czasach, kiedy polska policja raczkowała, ja blisko współpracowałem z policją austriacką, niemiecką, belgijską i holenderską. Wszyscy w tamtym okresie ramię w ramię walczyliśmy

z grupami przestępczymi. Ale tego już nikt nie pamięta. Wszyscy pamiętają, że Ci ludzie byli wcześniej milicjantami czy esbekami. To nie byli bandyci, tylko przedstawiciele organów ścigania – jedynych, jakie mieliśmy w tym czasie. Ramie w ramie ja, moi ludzie oraz policja przeprowadzaliśmy prowokacje i zatrzymywaliśmy na gorącym uczynku gangsterów. Pomagaliśmy sobie wzajemnie. Policjanci wielokrotnie dawali nam kamizelki kuloodporne, a kiedy było bardzo źle i cofnęli mi pozwolenie na broń – jeden z nich przyszedł do mnie do domu i powiedział:

– Krzysztof, masz mój rewolwer.

– Jurek, to nie idzie tak. A co, jeśli coś się stanie i będę musiał go użyć?

– Krzysztof, zrobimy tak: ja tej broni zapomniałem, zostawiłem u ciebie w domu, a jak będzie taka potrzeba, to po nią przyjdę. Jak coś się stanie, to wtedy będziemy się martwić.

Tak się wtedy zachowywali policjanci. Tak się zachował Andrzej Kozakiewicz, minister w kancelarii Lecha Wałęsy, kiedy chciał wyjąć z sejfu swojego glocka i mi dać.

W pewnym momencie kradzież samochodów przestała się opłacać, więc zaczęto porywać ludzi?

Złodzieje samochodów, którzy z powodzeniem żądali wykupu, pomyśleli: po co mamy kraść samochody i brać za nie pieniądze? Będziemy porywać ludzi. Nawet jeżeli porwany człowiek jest ubezpieczony, to rodzina da za niego każdą gotówkę. A wtedy było wielu nowobogackich, którzy się pokazywali; wielu takich, którzy mieli puste portfele, a jeździli najnowszej klasy mercedesami – na raty, takich, którzy mieszkali w najnowocześniejszych domach i pięknych willach – kupionych na kredyt. Byli nawet tacy, którzy niczego się nie bali – podjeżdżali pod bar Ptyś w Wołominie, w którym zbierała się cała szumowina bandycka, zostawiali samochody z otwartymi szybami i kluczami

w środku – żeby pokazać, że nikogo się nie boją, że nikt nie odważy się ukraść im bryki. Faktycznie, gangsterzy nie kradli takiemu klientowi samochodu, ale... za kilka miesięcy zamiast samochodu brali mu dzieciaka.

PORWANIA W OLSZTYNIE

W 2000 roku w Olsztynie porwano kilku biznesmenów, a także kilkunastu członków ich rodzin.

To był paskudny rok dla olsztyńskich przedsiębiorców. Prawdziwa plaga porwań. Zamożni, wpływowi biznesmeni, zdając sobie sprawę z braku profesjonalizmu lokalnych organów ścigania oraz ich dużej opieszałości, bojąc się, że kolejne ataki bandytów będą dotyczyły ich rodzin, postanowili powołać do życia Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie na Rzecz Bezpieczeństwa, a po pewnym czasie zaproponować mi współpracę.

Dlaczego akurat Panu?

To zaproszenie pojawiło się chwilę po tym, jak pozytywnie zakończyła się prowadzona przeze mnie sprawa uprowadzenia 12-letniego Piotrka – syna olsztyńskiego biznesmena Jarosława Miklasa i jego żony Hanny.

Stowarzyszenie walczyło z grupami przestępczymi?

W żadnym wypadku. To skończyłoby się niepotrzebnym rozlewem krwi. Stowarzyszenie powstało po to, aby zainteresować społeczeństwo oraz media tematem fali porwań i zmusić organy ścigania do wytężonej, efektywnej pracy. Początkowe działania nie przynosiły efektów, policja była głucha na prośby członków tej organizacji o sumienne wywiązywanie się z ustawowych zadań. Proceder porwań miał się w najlepsze, a organy ścigania były bezradne.

Za porwaniami stała mafia?

Nie, to nie była mafia. To byli zwykli bandyci zrzeszeni w kilkunastoosobowych grupach przestępczych. Poza mokotowską grupą tzw. „obcinaczy palców” i grupą Litwina żadna licząca się organizacja nie czerpała dochodu z porwań, bo to po prostu nigdy nie był – wzięwszy pod uwagę interesy zorganizowanej przestępczości mafijnej – najbardziej opłacalny biznes, a ryzyko wpadki i wieloletniej odsiadki było ogromne. Zorganizowane grupy przestępcze były zainteresowane szybkim, wysokim zarobkiem przy małym ryzyku wpadki, dlatego zajmowały się przemytem spirytusu, papierosów i narkotyków, gdzie zyski finansowe były olbrzymie, a grożący wyrok niezbyt wysoki.

Skoro nie mafia, to kto w takim razie stał za olsztynskimi porwaniami?

Mniejsze gangi. W tamtym czasie na terenie Olsztyna grasowała grupa piastowska, czyli tzw. gang „mutantów” – ten sam, który brał udział w strzelaninie w Magdalence. Kierownictwo tej grupy wpadło na pomysł, że porwanie ludzi to dobry biznes, więc zaczęli to robić – licząc na szybkie zarobienie sensownych pieniędzy oraz całkowite uniezależnienie się od grupy wołomińskiej, z którą byli związani.

HISTORIA PIOTRKA MIKLASA

Jedną z osób porwanych w Olsztynie był Piotrek Miklas, którego rodzice zwrócili się do Pana o pomoc.

Ojciec Piotrka, Jarosław, był wpływowym biznesmem, miał chody na policji, był w dobrych stosunkach z prezydentem miasta. Miał kupę kasy, ale starał się żyć normalnie. Żona pomagała mu prowadzić biznes, a ich syn

Piotrek chodził do normalnej szkoły. Pewnego dnia, gdy chłopak był w szkole, do ojca, który był w pracy, ktoś zadzwonił:

– Bańka papieru, k..., wszystko na ten temat, odezwie-my się.

Tego samego dnia Miklas zadzwonił do mnie, było około godz. 17.00. Pamiętam ten telefon, jakby to było wczoraj; byłem akurat w drodze do Czech, pod Cieszyńnem – rzut beretem od granicy.

– Panie Rutkowski, porwali mi syna. Chciałbym, aby pan go odnalazł... – powiedział zimnym, spokojnym i stanowczym głosem. Bez żadnych emocji.

Jak zawsze przy takiej rozmowie ustaliłem najistotniejsze fakty: ile lat ma chłopak, czy dzwonił porywacz, a jeżeli tak, to jakiego okupu żąda i czy poznał głos porywacza. Zawróciłem, but w podłogę i po niespełna pięciu godzinach byłem w Olszynie. Jechałem szybko, żeby jak najszybciej rozpocząć poszukiwania.

Jak Miklas dowiedział się o porwaniu? Z telefonu to nie wynikało.

Drogą dedukcji: Co jest warte milion? Samochód? Nie, samochód stał pod firmą, a nawet jeśli by go tam nie było, to w tamtym czasie nikogo nie było stać na taką drogą furę. Dom? Przecież nie da się go porwać, można co najwyżej spalić, ale przecież nikt nie dzwoniłby do Miklasa z żądaniem miliona za zaniechanie podpalania chałupy. Ojciec Piotrka mieszkał w Olsztynie, wiedział o wcześniejszych porwaniach, więc szybko połączył fakty. Zadzwonił do szkoły, ale syna w niej nie było – skończył lekcje i poszedł do domu. Pojechał więc do domu, ale nikogo w nim nie było. Z tego, co pamiętam, zadzwonił wtedy do żony, żeby o wszystkim jej powiedzieć, a potem do mnie – trzy-cztery godziny po telefonie od porywacza.

Chłopiec mógł gdzieś pójść z kolegami – na rower czy pograć w piłkę.

Mógł, ale w tym przypadku tak nie było. Zniknięcie 12-letniego chłopca i dziwny telefon do jego ojca oznaczały, że Piotrek został porwany.

Dlaczego porywacz od razu nie powiedział, o co chodzi?

Czasami coś, czego nie powiemy, jest mocniejsze od tego, co byśmy mieli powiedzieć; często zostawia się daną sprawę celowo niedopowiedzianą, aby wywierała jeszcze mocniejsze wrażenie. Takie są zasady społecznych interakcji: pewne rzeczy stają się zrozumiałe z uwagi na sytuacyjny kontekst albo wcześniejsze doświadczenia. Amerykański socjolog William Thomas, przedstawiciel niezwykle popularnej w XX wieku szkoły interakcjonizmu symbolicznego, stworzył pojęcie definicji sytuacji, która w pewnym sensie jest synonimem reguł zachowania się – często rozumiemy reguły gry, mimo iż nie zostały przez nikogo wprost werbalnie określone. Miklas znał wydarzenia mające miejsce w Olsztynie, słyszał o wcześniejszych porwaniach, więc zrozumiał słowa porywacza jednoznacznie, jednak z drugiej strony – zostały one wypowiedziane w taki sposób, że nie dawały podstaw do podjęcia oficjalnych kroków prawnych, w postaci np. zawiadomienia organów ścigania, bez sprawdzenia dodatkowych okoliczności.

Co chciał osiągnąć porywacz, artykułując swoje żądanie w ten sposób i nie wyjaśniając, o co chodzi?

Wzmocnić przekaz, zyskać na czasie, a także opóźnić moment zawiadomienia policji. Dał Miklasowi do zrozumienia, że wydarzyło się coś złego i powiedział, o jakie pieniądze toczy się gra, czyli przekazał najważniejsze ze swojego punktu widzenia informacje. Zanim Miklas potwierdził swoje przypuszczenia, minęło trochę czasu.

Powiadomił policję?

Mimo iż porywacz nie wypowiedział klasycznej dla takich sytuacji formułki: „żadnej policji...”, Jarek nie chciał złożyć oficjalnego zawiadomienia o porwaniu syna. Jak dla mnie było to trochę dziwne; oczywiście z jednej strony miał prawo obawiać się, że zawiadomienie organów ścigania rozjuszy porywacza, a działania policji – biorąc pod uwagę jakość ich pracy przy wcześniejszych olsztyńskich porwaniach – nie gwarantowały niczego dobrego. No ale z drugiej strony...

Dlaczego porywacz nie zabronił zawiadamiać policji?

Nie mam pojęcia. Może dlatego, że był tak pewny siebie, że nie czuł zagrożenia z ich strony, może po prostu wiedział o konflikcie olsztyńskiego środowiska biznesowego z lokalną policją i liczył na to, że Miklasowie i tak nie zawiadomią policji, a może po prostu o tym zapomniał? Nie wiem. Wtedy się nad tym nie zastanawiałem. Tak czy tak powiedziałem Miklasom, że jeżeli nie zawiadomią policji – nie przyjmę zlecenia. To była krótka piłka. Policja, jakkolwiek nieefektywnie by pracowała, to jednak policja; a biorąc pod uwagę, że organy ścigania od dłuższego czasu rozpracowywały gang „mutantów”, który kontrolował ten teren, nie można było ich nie zawiadomić. W końcu Jarek, zmuszony przez Hanię, zgodził się zgłosić na policji zniknięcie syna, a ja zacząłem działać.

Dlaczego tak bardzo Panu zależało na powiadomieniu policji?

Każdy obywatel, wiedząc, że doszło do popełnienia przestępstwa – a porwanie jest przestępstwem – ma moralny obowiązek zawiadomić o tym fakcie organy

ścigania, a w przypadku niektórych przestępstw wręcz prawny obowiązek. Jeżeli więc Miklasowie nie zawiadomiliby policji, ja bym to zrobił, a jeżeli nie potwierdziliby tej okoliczności, nie przyjąłbym zlecenia. Poza tym od zawsze wyznaję zasadę, że podejmując jakieś działania, które mogą skutkować ujęciem przestępcy, powiadamiam o tym lokalną policję, żeby wiedziała, że coś się dzieje na jej terenie. Zawsze staram się być uczciwy w stosunku do organów ścigania, a jeżeli jest tylko taka możliwość – chętnie z nimi współpracuję. Nigdy nie złamałem tej zasady, a policjanci wiedzą, że o ile prywatnie możemy się nie lubić, o tyle w sprawach zawodowych zawsze gramy do jednej bramki. Tak było wtedy, gdy prowadziłem sprawę porwanego Piotrka i tak jest teraz, gdy tropię i ujmuję pedofilów.

Miklasowie powiadomili policję. Co było dalej?

Sprowadziłem na miejsce swoich ludzi, którzy podjęli standardowe działania: sprawdzili, z jakiego numeru dzwonił porywacz, zamontowali kilka kamer w okolicach domu Miklasów, podłączyli urządzenia rejestrujące w telefonie Jarka i Hani, a ja poszedłem w miasto – do baru o nazwie Meluza, w którym można było spotkać „mutantów”.

W jakim celu?

To był teren kontrolowany przez grupę „mutantów”. Praktycznie nic nie działało się bez wiedzy bądź zgody kierownictwa tej bandy, więc to oni musieli stać za porwaniem Piotrka albo co najmniej wiedzieć, kto to zrobił. Wchodząc do knajpy, pokazałem im, że jestem na ich terenie. Miałem nadzieję, że po mojej wizycie w barze, zaczną się zastanawiać, co robię w Olsztynie, czy nie prowadzę na tym terenie żadnej sprawy. W ten sposób chciałem

wywołać pewien popłoch w ich środowisku, zagrać na ich emocjach, wywołać zdenerwowanie i w ten sposób sprowokować do popełnienia błędu, dzięki któremu zlokalizuję miejsce przetrzymywania chłopaka. Posiedziałem trochę w knajpie, potem pokręciłem się jeszcze po mieście i wróciłem do domu Miklasów.

SKĄD DZWONIŁ PORYWACZ?

Udało się ustalić, skąd dzwonił porywacz?

Tak, bez trudu, ale to zbyt nie pomogło w śledztwie – porywacz dzwonił z budki telefonicznej, oddalonej o kilka kilometrów od domu Miklasów. Pamiętam, że kiedy było już parę minut po północy zadzwoniłem do śledczego, który ze strony policji prowadził sprawę, a potem poszedłem do hotelu, żeby chociaż parę godzin się zdrzemnąć. W domu Miklasów zostawiłem dwójkę swoich ludzi.

Często się zdarza, że porywacze dzwonią w nocy?

Porywacz zyskuje, gdy dzwoni w nocy. Zdecydowana większość społeczeństwa w dzień pracuje, a w nocy śpi. Jeżeli zadzwonię do kogoś w nocy, kiedy ten ktoś śpi – to, mimo że odbierze telefon, będzie potrzebował kilku minut na pełne przebudzenie, szczególnie jeżeli znajdował się w głębokim śnie. Zapamięta informację, które mu przekazałem w ciągu tych kilku minut, ale nie zapamięta istotnych szczegółów, takich jak charakterystyczne dźwięki w tle czy ton mojego głosu, które z punktu widzenia skuteczności poszukiwań są niezwykle istotne. Oczywiście w przypadku porwania człowieka, jego najbliżsi nie śpią głębokim snem – jeżeli w ogóle śpią – jednak z powodu dużych emocji i zmęczenia, ich organizm reaguje podobnie jak w głębokim śnie, czyli powolnie i z opóźnieniem. W przypadku porwania Piotrka były małe szanse

na to, aby porywacz zadzwonił w nocy, jednak nie można było tego wykluczyć, dlatego wysłałem dwójkę swoich ludzi w okolice budki telefonicznej, z której dzwoniono.

Skąd pewność, że nie zadzwoni w nocy?

Skoro porywacz za pierwszym razem dzwonił z budki telefonicznej, prawdopodobnie kolejny raz kontaktowałby się z rodzicami Piotrka w ten sam sposób. W nocy na ulicach jest prawie pusto. Założyłem, że porywacz wiedział o trwających poszukiwaniach chłopca i powiadomieniu policji, mógł więc podejrzewać, że budka jest obserwowana i zdawać sobie sprawę, że zbliżając się do niej pod osłoną nocy, wzbudzi zainteresowanie i prawdopodobnie zostanie zatrzymany.

Mógł przecież zadzwonić z innego miejsca.

Tak, brałem pod uwagę taką ewentualność, ale w Olsztynie i okolicznych miejscowościach było zbyt dużo budek telefonicznych, żeby wszystkie obstawić. Musieliśmy czekać na kolejny telefon od porywacza, aby określić krąg, po którym się porusza. Na szczęście nie trzeba było zbyt długo czekać. Następnego dnia rano porywacz zadzwonił zapytać, czy Jarek zebrał pieniądze. W jego telefonie wyświetlił się numer kabiny telefonicznej oddalonej o kilka kilometrów od miejsca pierwszego kontaktu. Skoro porywacz ponownie wybrał taką formę łączności z rodzicami chłopca, a dokładnie z ojcem Piotrka, wiedzieliśmy, że kolejny raz skontaktuje się w ten sam sposób. W rejonie, po którym poruszał się porywacz, było siedem budek telefonicznych, moi ludzie byli w okolicach pięciu z nich – wystarczająco blisko, aby w razie kontaktu ująć dzwoniącego, a zarazem nie aż tak blisko, żeby zostać zauważonymi. Pozostałe dwie kabiny wykluczaliśmy, ponieważ to z nich zostały wykonane dotychczasowe telefony. Skoro porywacz

nie zadzwonił za drugim razem z tego samego miejsca co poprzednio, nie zrobiłby tego również za trzecim razem.

Nie założyliście podsłuchu w firmie Miklasa?

Nie było takiej potrzeby. Prawdopodobieństwo, że porywacz zadzwoni do firmy, było bliskie zeru. Miklas nie miał numeru zewnętrznego, a zanim sekretarka połączyłaby z nim dzwoniącego porywacza, upłynęłoby zbyt dużo czasu – wystarczająco, żeby bez trudu ustalić miejsce pobytu dzwoniącego i ująć go w trakcie rozmowy. Poza tym wykonanie telefonu do firmy Miklasa wiązało się z tym, że sekretarka albo inna osoba, która przełączy rozmowę, a nie jest emocjonalnie związana ze sprawą, może rozpoznać głos porywacza. W takiej sytuacji atut w postaci anonimowości – w tym czasie bowiem fakt, że za porwaniem stała grupa „mutantów”, był silną, ale tylko poszlaką – prysnie jak bańka mydlana.

POZYSKIWANIE INFORMACJI

Nie mogliście po prostu ująć ludzi z tej grupy przestępczej, wziąć ich na przesłuchanie i zdobyć informacji o miejscu przetrzymywania Piotрка?

Po pierwsze, nie było na nich kwitów, a po drugie, to nie byli ludzie, którzy ochoczo śpiewali na przesłuchaniach. To były zwykłe „karki” o niezbyt wysokim poziomie inteligencji. Niczego byśmy się od nich nie dowiedzieli. Musieliśmy kombinować inaczej. Życie nauczyło mnie, że informacja to władza. Część moich ludzi obstawiała budki telefoniczne, pozostałych dwoje czekało na telefon od porywacza w domu Miklasów, a ja poszedłem w teren pogadać z informatorami. Miałem w Olsztynie kilku, powiedzmy... przyjaciół, którzy mogli mieć jakieś informacje o porwanym chłopaku.

Nie lepiej było zostać w domu Miklasów i czekać na telefon od porywacza, a do zbierania informacji wysłać swoich ludzi?

„Information's pretty thin stuff unless mixed with experience” (tłum. informacja znaczy bardzo niewiele, jeśli nie idzie w parze z doświadczeniem). Nie każdy informator przekaze moim ludziom takie wiadomości, jakie przekazałby mnie – podczas rozmowy w cztery oczy. Proces pozyskiwania informacji jest bardzo skomplikowany – nie wystarczy pójść i po prostu zapytać. Trzeba wiedzieć, w jaki sposób zadać pytanie, w jaki sposób przetworzyć pozyskaną informację i wykorzystać ją do zadania kolejnego pytania. Tych umiejętności człowiek uczy się przez wiele lat – nie przyswaja tej wiedzy w szkole, tego uczy ulica. Ze względu na to, że sytuacja rozgrywała się na terenie „mutantów”, życie chłopaka było w bardzo poważnym niebezpieczeństwie. Nie mieliśmy czasu na to, aby zespół wgryzł się w teren, poznał ludzi, którzy mają informacje o Piotрку, zdobył je i przetworzył, dlatego osobiście zająłem się tą sprawą. Każda godzina była na wagę złota.

Dlaczego czekał Pan do rana zamiast pójść do nich od razu?

Informatorów trzeba traktować jak partnerów, trzeba szanować ich oraz ich czas. Kiedy dotarłem do Olsztyna, był późny wieczór, gdy zrobiłem wstępny rekonesans, była północ. O tej porze moje „źródła” albo były w pracy, bo kilkoro z nich trudniło się pracą w ochronie, albo spały, albo były na ostrym podwójnym gazie. Nie mogłem z miejsca pójść do agencji towarzyskiej, w której pracowała jedna z tych osób i wypalić z grubej rury, czy wie coś o porwaniu chłopaka, bo zaraz ktoś by zauważył, że się znamy, przez co mogłaby mieć problemy. Wszystko trzeba robić z głową i wyczuciem.

Jak się pozyskuje informatorów?

Są dwie metody: za pomocą strachu albo szacunku. Ta pierwsza jest zazwyczaj wykorzystywana przez młodych, niedoświadczonych policjantów, którzy nie mają bazy swoich kontaktów, a muszą iść w teren i zdobyć informacje – przyuważają jednego z drugim, jak wciągają kreskę* na *squacie*** czy rozprowadzają narkotykową „drobnicę”, spuszczają lekkie manto i dają propozycję nie do odrzucenia: pracujesz dla mnie albo idziesz siedzieć za to, co masz w kieszeni, a w prezencie jeszcze coś w niej znajdę. W taki sposób pozyskany informator będzie źródłem wiedzy dla policjanta, ale nie wtedy, kiedy będzie miał informacje mogące go zainteresować, tylko wtedy, kiedy ten policjant do niego po informacje przyjdzie, a jemu nie uda się przed nim uciec. Informatorzy w takim układzie nie czują się dobrze – dostają pieniądze za informacje, ale czują się jak ostatni śmieć. Jestem przeciwnikiem takiej metody i w swojej pracy wykorzystuję tę drugą.

Pozyskanie informatora przez szacunek polega na kontrolowanym zakolegowaniu się z człowiekiem: wybieram sobie osobę, która ze względu na środowisko, w którym przebywa, miejsce zamieszkania, pracy czy wykonywany zawód, może posiadać przydatne informacje i rozpoczynam z nim znajomość – zawsze od pozyskania jakiejś informacji, za którą mu płacę. Ta informacja może mi w danym momencie w ogóle nie być potrzebna, ale jej zdobycie oraz zapłacenie za nią jest niezwykle ważne – od samego początku określa charakter relacji oraz pomaga w ustaleniu, czy informator ma dostęp do informacji i czy jest w stanie szybko je zdobyć, czy nie, a także, czy jest wiarygodny.

* Wciągnąć kreskę – zażyć porcję narkotyku (przyp. red.).

** *Squat* (ang.) – opuszczona nieruchomość zamieszкана przez dzikich lokatorów (przyp. red.).

Bardzo ważne jest, aby regularnie utrzymywać kontakt z informatorem, odwiedzać go co jakiś czas – tak po prostu, żeby zapytać, co u niego słychać, czy czegoś nie potrzebuje, czy nie ma kłopotów, a nie tylko po to, żeby zgłosić zapotrzebowanie na informacje. Po 26 latach pracy w tym zawodzie mam siatkę ponad kilkudziesięciu informatorów. Z logistycznych przyczyn nie jestem w stanie odwiedzać każdego z nich kilka razy w roku – bez żadnego powodu, ale do tych, z którymi dawno się nie widziałem, staram się wysłać co jakiś czas zwykłego SMS-a z pytaniem, co słychać. Dzięki tym rozmowom wiem, kto jest na jakim etapie w życiu, jakie może mieć informacje i czy po prostu mogę mu w jakiś sposób pomóc. To jest niezwykle potrzebne do podtrzymania relacji.

Oczywiście, dobre relacje są ważne, ale niewystarczające, zawsze trzeba bowiem wynagradzać swoich informatorów. Za dobrze wykonaną pracę czy za wiedzę należy się godziwa zapłata. Parę lat temu, kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia, byłem przejazdem w Gdańsku, w drodze powrotnej zahaczyłem o Sopot i odwiedziłem jednego z moich informatorów. Nie w celach zawodowych, ale towarzyskich, bo widziałem, że coś go trapi. Pogadaliśmy na spokojnie i okazało się, że ma drobne problemy finansowe; szły święta, a on nie miał pieniędzy na prezenty dla dwóch córek. Wybadałem go, jakie prezenty chciałyby dziewczyny, a potem poszedłem do sklepu i te rzeczy kupiłem. Pamiętam jego minę, gdy do niego wróciłem z prezentami – nigdy nie pokazywał emocji, a wtedy się rozkleił. W taki sposób buduje się relację. Informator musi wiedzieć, że może na mnie polegać, bo wtedy, kiedy ja będę go potrzebował, on też nie odmówi mi pomocy. Tak to działa.

Zdarza się również, że informatorzy zgłaszają się do mnie sami. Nazywam ich sygnalistami: dzwonią na numer alarmowy biura z własnej inicjatywy i przekazują

konkretne informacje. Zazwyczaj ich motywem jest zemsta, a sygnalistami kobiety.

A jeżeli na danym terenie nie ma Pan informatorów?

Zdarza się, że nie mam wtyczki w jakiejś okolicy bądź moi informatorzy są niedostępni albo nie mają informacji potrzebnych mi do śledztwa, czy też nie są w stanie ich pozyskać. W takich przypadkach korzystam z informatorów *ad hoc* – na potrzeby danej sprawy. Pozyskuję ich dokładnie w taki sam sposób jak tych stałych: wyszukanie osoby, obserwacja pod kątem sytuacji finansowej, wybadanie zainteresowania przekazaniem informacji, ocena wartości posiadanych wiadomości, pozyskanie informacji i zapłata; z tą różnicą, że kontakt z taką osobą zazwyczaj kończy się po sfinalizowaniu danej sprawy. Oczywiście, są przypadki, że tacy informatorzy stają się moimi stałymi współpracownikami, jednak dzieje się tak niezwykle rzadko i tylko w przypadku, gdy osoby te posiadają szeroką wiedzę na temat tego, co dzieje się na ich terenie – to podstawowy wymóg.

Czy na temat porwania Piotrka Miklasa stali informatorzy posiadali jakąś wiedzę?

Uruchomiłem swoje kontakty, przedstawiłem temat tym, którzy działali na terenie Olsztyna albo mieli wejście do grupy „mutantów” i poprosiłem ich o jakieś informacje. Niestety, na gorąco nie wiedzieli nic o porwaniu Piotrka, ale byliśmy umówieni na kontakt pod koniec dnia. W czasie, kiedy moi informatorzy próbowali zdobyć przydatne dla śledztwa informacje, poszedłem zjeść coś do Meluzy – żeby jeszcze bardziej podkreślić swoją obecność w Olsztynie. Było chwilę po otwarciu, poza mną i barmanem nikogo nie było. Zamówiłem mocną kawę, coś do zjedzenia i usiadłem przy barze, żeby poobserwować trochę barmana,

który był zaprzyjaźniony z grupą „mutantów”. Nie upłynęła dłuższa chwila, gdy zaczął do mnie zagadywać, pytać, co robię w Olsztynie, w jakim hotelu się zatrzymałem i jak długo mam zamiar zostać. Ewidentnie było widać, że ktoś kazał mu dowiedzieć się o moim pobycie jak najwięcej. Bez owijania w bawełnę powiedziałem mu, że wynajęli mnie Miklasowie do odnalezienia ich syna. Pamiętam, że był wyraźnie zaskoczony powodem mojej obecności w Olsztynie. Próbowałem go wybać czy zna sprawę, ale niczego konkretnego się nie dowiedziałem, więc skończyłem śniadanie i poszedłem do domu Miklasów, żeby omówić dalsze działania.

OKOLICZNOŚCI PORWANIA MIKLASA

Nie zdziwiło Pana zachowanie barmana?

Barmani nie tylko w filmach są świetnymi obserwatorami, a nierzadko również aktorami. To stały element ich pracy – muszą umieć udawać i z przekonaniem mówić to, co klient chce usłyszeć. Wydaje mi się jednak, patrząc na jego zachowanie z perspektywy swojego doświadczenia, że zauważyłbym, gdyby kłamał. Gdy dzień wcześniej byłem w tym pubie, też był na zmianie – widać było, że dobrze zna się z chłopakami od „mutantów”. Od jednego ze swoich informatorów wiedziałem, że facet jest wprowadzony w interesy tej grupy i ma rozległą wiedzę o prowadzonych przez nią działaniach. Dłaczego więc w tak przekonujący sposób, po krótkim zastanowieniu, powiedział, że nic nie wie o zniknięciu Piotrka? Nie wiem.

Poszedł Pan do domu Miklasów. Co było dalej?

Cóż... w zasadzie to nic nie było. Do rodziców chłopaka nikt nie dzwonił, w pobliżu budek telefonicznych nie pojawił się, od momentu drugiego telefonu, nikt podejrzący.

Cisza i spokój. Policja też nic nie miała. Polecilem swoim ludziom zrobić dyskretną obserwację liderom grupy „mutantów”, a sam pojechałem z Hanią do szkoły Piotrka, żeby porozmawiać z nauczycielami i innymi pracownikami placówki. Kilka godzin wcześniej rozmawiała z nimi policja. Nikt nie zauważył nic podejrzanego w dniu porwania Piotrka. Chłopak skończył lekcje przed dwunastą, wyszedł ze szkoły, a następnie miał pójść na piechotę do domu.

Na piechotę?

Miklasowie nie mieszkali daleko od szkoły, więc codziennie rano Jarek odwoził syna do szkoły, a po lekcjach Piotrek wracał do domu sam bądź z kolegami – każdego dnia tą samą drogą. Zadzwoiłem do swoich ludzi, którzy czekali w domu Miklasów (na wypadek gdyby zadzwonił porywacz), żeby jeden z nich przyjechał pod szkołę i w trójkę – razem z Hanią – próbowaliśmy odtworzyć drogę Piotrka do domu i miejsce, w którym prawdopodobnie został porwany. Dodatkowo ściągnąłem jeszcze czterech swoich ludzi do pomocy w poszukiwaniach chłopaka. Po przeanalizowaniu drogi Piotrka ze szkoły do domu, ustaliliśmy dwa najprawdopodobniejsze miejsca porwania: pierwszym z nich było osiedle z dużej płyty, jako drugie wytypowaliśmy okolice firmy transportowej. Oczywiście, nie było powiedziane, że to właśnie w jednym z tych miejsc został porwany, jednak z całej trasy właśnie one były najbezpieczniejsze dla porywacza.

Na osiedlu mieszkało kilka tysięcy osób, każdy był anonimowy, nikt więc nie zapamiętałby twarzy chłopca oraz porywacza, nie mówiąc o numerach rejestracyjnych samochodu; zaś firma transportowa była zlokalizowana przy ruchliwej drodze, a do samej firmy codziennie przyjeżdżało kilkadziesiąt samochodów, więc to, że ktoś zapamięta numery rejestracyjne wozu czy twarz ofiary bądź

porywacza również było bardzo mało prawdopodobne. Porywacz wiedział, jak wygląda chłopak, o której godzinie kończy lekcje, w jaki sposób oraz jaką drogą wraca do domu. To świadczyło o tym, że porwanie było dobrze zaplanowane i wykluczało przypadkowe przejęcie chłopaka, potwierdzając moje przypuszczenia, że młody Miklas został uprowadzony w jednym z tych dwóch miejsc. Dla pewności udałem się do firmy transportowej, żeby pokazać jej pracownikom zdjęcie chłopaka i ustalić, czy ktoś zauważył coś podejrzanego w dniu porwania chłopca, a Hania i mój pracownik poszli na osiedle, żeby o to samo tam rozpytać ludzi.

Udało się coś ustalić?

Nikt z pracowników firmy nie kojarzył Piotrka. Nikt też nie zauważył niczego dziwnego w czasie, w którym zniknął. Udało się jednak ustalić, że to jednak nie okolice firmy były miejscem uprowadzenia. Przed firmą oraz po jej bokach – na rampach załadunkowych – były zamontowane kamery, które nie zarejestrowały chłopca tego dnia. Gdyby tamtędy szedł, kamery by to wychwyciły. To oznaczało, że Piotrek nie zdążył dotrzeć w okolice firmy. Najbardziej prawdopodobnym miejscem porwania było zatem osiedle. Dołączyłem więc do Hani i swojego człowieka, a kilka minut później dołączyli do nas jeszcze pozostali moi ludzie, którzy przyjechali z Łodzi. Rozdzieliliśmy się i zaczęliśmy intensywne wypytywania o chłopca, o dziwne zdarzenia z poprzedniego dnia. Nikt niczego nie zauważył. Na osiedlu nie było też żadnej kamery, więc po kilku godzinach udaliśmy się do domu Miklasów.

Przepadł jak kamień w wodę?

Rozpłynął się w powietrzu... Dotychczasowe działania nie przyniosły żadnego efektu. Nie udało mi się ustalić nic

poza tym, po jakim obszarze porusza się porywacz. Ogon, jaki puściliśmy za ludźmi od „mutantów”, też nie wniósł niczego do sprawy – nie robili nic, co uzasadniałoby ich zatrzymanie. Policja też nic nie miała. Mijały kolejne godziny, a porywacz się nie odzywał. Cóż... czasami tak bywa. Nie miałem żadnego punktu zaczepienia, więc pojechałem ze swoimi ludźmi raz jeszcze na osiedle, licząc, że spotkamy kogoś, z kim do tej pory nie rozmawialiśmy i dowiemy się czegoś ciekawego. I tak nam zeszło do późnego wieczora. Przed północą zadzwonił do mnie informator. Spotkaliśmy się, ale ta rozmowa też nie wniosła wiele do śledztwa – wręcz przeciwnie, utrudniła całą sprawę. Z informacji mojego informatora wynikało, że to nie grupa „mutantów” stała za porwaniem chłopaka, a kierownictwo grupy próbuje ustalić, kto działa na ich terenie bez ich wiedzy i zgody. To jeszcze bardziej zagnatowało całą sprawę i zamiast przybliżyć mnie do rozwiązania sprawy, wręcz przeciwnie – oddaliło od niego. Kto odważyłby się wejść na teren „mutantów”? W sensie ogólnym, w kontekście pojęcia „mafia”, to nie była silna grupa, ale byli wystarczająco mocni jak na lokalne warunki. Żadna z małych grup nie zaryzykowałaby konfliktu z nimi, a poza grupą Litwina żadna większa organizacja nie działała na tym terenie.

GRUPA LITWINA A „MUTANCI”

Grupa Litwina porwała chłopaka?

Na to by wychodziło, ale zachowania porywaczy nie były w ich stylu – oni nie dzwoniliby do ojca Piotrka, nie bawiliby się w subtelne sugestie, o co chodzi. Przekazaliby mu prosty komunikat, że mają jego syna, wyznaczyliby krótki termin na przekazanie okupu i zamknęli sprawę. Natomiast od porwania Piotrka minęło wiele godzin,

a porywacz nie powiedział nawet, w jaki sposób ma zostać przekazany okup, w jakiej walucie i w jakich nominałach. Nie powiedział w zasadzie nic.

Często porywacze zachowują się w taki sposób?

Duże, zorganizowane grupy przestępcze bardzo rzadko. Wynika to z prostego powodu: są obserwowane przez organy ścigania, w mniejszym bądź większym stopniu, a im dłużej przetrzymują porwanego, tym większe ryzyko, że wpadną i zamiast okupu dostaną kilka ładnych lat odsiadki. Z tego względu chcą jak najszybciej zakończyć sprawę – dostać okup i oddać porwanego rodzinie albo – tak jak mokotowscy – zabić.

Zabić?

Bandyci, cokolwiek by o nich nie mówić, mają swoje zasady, a jedną z nich jest oddanie porwanego w przypadku otrzymania okupu. Taką zasadą kierowała się m.in. grupa Litwina, która była jedną z najbardziej rzetelnych grup przestępczych działających w naszym kraju. Mokotowscy z kolei charakteryzowali się tym, że jeżeli porwali człowieka, bez względu na to, czy został za niego zapłacony okup, czy też nie, brutalnie go mordowali, a wcześniej przesyłali jego palec rodzinie.

Miał Pan zaufanie do swojego informatora? Może po prostu ktoś z grupy „mutantów” celowo wprowadził go w błąd?

Wykluczyłem taką ewentualność. Mój informator był znany i szanowany w tym środowisku, a poza tym nawet gdyby ktoś próbował go wprowadzić w błąd, bardzo szybko by się zorientował. Po rozmowie z nim praktycznie wykluczyłem udział „mutantów” w porwaniu Piotрка Miklasa.

Jeśli nie oni i nie grupa Litwina, to kto?

Długo się nad tym zastanawiałem. Z racji tego, że wyeliminowałem udział „mutantów” w porwaniu chłopaka, moi ludzie przestali obserwować kierownictwo tej grupy, a zaczęli obserwować okolice okręgu, po którym poruszał się porywacz – pod kątem miejsca przetrzymywania chłopaka. Poszukiwania nie przynosiły efektu, zarówno prowadzone przeze mnie, jak i przez policję. Czekaliśmy na kolejny ruch ze strony porywaczy.

Porywacz zadzwonił?

Tak, ale dopiero następnego dnia. Od razu na radio dostałem cynk od swojego człowieka, który był w domu rodziców Piotрка. Następnego dnia porywacz miał zadzwonić i wskazać miejsce przekazania okupu. Natychmiast kazałem zespołowi, który znajdował się najbliżej miejsca, z którego dzwoniono do Jarka, jechać w jego okolice i ująć porywacza. Niestety, nikogo już tam nie było, a słuchawka od aparatu – tak jak poprzednio – była odcięta. Kazałem swoim ludziom zabezpieczyć teren, a sam zadzwoniłem do śledczego, żeby przedyskutować z nim kwestię telefonu od porywacza. W międzyczasie technik policyjny pojawił się na miejscu kontaktu, aby zebrać odciski palców z kabla od aparatu, klawiatury i kabiny telefonicznej.

ŚLADY PALCÓW NA KABLU TELEFONICZNYM**I co się okazało?**

Policjanci stanęli na wysokości zadania. Odciski palców zostały zebrane i błyskawicznie sprawdzone. Na tym etapie udało się ustalić tożsamość tylko jednej osoby – Andrzeja Bąka, członka napadającej przed laty na tiry grupy

przestępczej, który kilka tygodni wcześniej opuścił zakład karny. Odciski pozostałych osób nie widniały w policyjnym rejestrze. Co więcej, ślady Bąka były na kablu telefonicznym, ale nie znajdowały się na kabinie aparatu. Ta okoliczność dała mi wiele do myślenia.

Jakie to miało znaczenie?

Niespójność pomiędzy odciskami Bąka na kablu telefonicznym i na klawiaturze aparatu, a mówiąc precyzyjniej obecność jego śladów na kablu i brak na klawiaturze świadczyła o tym, że Bąk zacierał ślady, usuwając swoje odciski z klawiatury. Dla mnie była to oczywista przesłanka, że za porwaniem młodego Miklasa stoi właśnie on – od razu wysnułem taki wniosek.

Dlaczego w takim razie nie stał odcisków palców z kabla?

W życiu codziennym istnieje cały repertuar czynności, których sobie nie uświadamiamy, wykonujemy je podświadomie, na zasadzie mechanicznych odruchów lub w porządku behawioralnym; zwłaszcza gdy w grę wchodzi powtarzalność danych działań albo stres, nerwowość, dramaturgia sytuacji. Automatycznie sięgamy po zapalniczkę, gdy chcemy zapalić papierosa; obgryzamy paznokcie, kiedy oglądamy mecz; dziewczyna flirtująca z chłopakiem wierci dziurę w podłodze obcasem od buta. Ten niewerbalny przekaz, „mowa ciała”, może nam dostarczyć wielu ważnych informacji o człowieku oraz badanej sytuacji, zdradzić istotne szczegóły. Gdy funkcjonariusze wywiadu bądź kontrwywiadu przesłuchują świadków rozmaitych zdarzeń, to w odróżnieniu od policji czy prokuratury większą uwagę zwracają na przekaz niewerbalny niż werbalny.

Sęk w tym, że tych odruchów oraz reakcji, dokonywanych automatycznie, mimochodem, nieświadomie, po prostu nie

pamiętamy, nie mamy świadomości ich wykonania. Podeksytowany sytuacją Bąk, pod wpływem stresu związał w palcach kabel i kręcił nim we wszystkie strony, ale tej czynności nie zapamiętał. Wykonywał ją podświadomie, myślał więc, że dotykał tylko słuchawki oraz klawiatury. Słuchawkę więc odciął i zabrał ze sobą, a klawiaturę wytarł. Fakt niespójności pomiędzy śladami Bąka na kablu i klawiaturze telefonu dał mi do zrozumienia, że to on zorganizował porwanie, gdyż zacierał ślady, usuwał odciski swoich palców.

Bandyta napadający na tiry porywaczem?

Na tym etapie nie wiedziałem tego oczywiście na 100 procent, ale to był jedyny trop. Przejrzałem więc razem ze śledczym jego kartotekę, zapoznałem się z profilem psychologicznym i opinią jego opiekuna z zakładu karnego – z dokumentów nie wynikało, aby był zdolny do porwania człowieka. Jego opiekun stanowczo zaprzeczył, aby Andrzej mógł być zamieszany w porwanie Piotрка. W trakcie odbywania kary wykazywał skruchę i nic nie wskazywało na to, aby po wyjściu z więzienia wrócił do przestępczego świata. Podrzuciłem informatorom jego nazwisko do sprawdzenia i po kilku godzinach dostałem informację zwrotną, że Bąk nie jest powiązany z żadną grupą przestępczą. Kilka miesięcy przed nim wyszedł z więzienia jego dawny wspólnik Ireneusz Nieczas, ale i on – zdaniem moich informatorów – nie miał żadnych związków z grupami przestępczymi. W taki sposób mieliśmy dwóch podejrzanych. Udałem się do domu Miklasów, żeby przekazać im te informacje.

Jak zareagowali?

Nic im nie mówiły nazwiska tych dwóch mężczyzn, przynajmniej tak mi powiedzieli. Za to Jarek oznajmił, że nie zapłaci żadnego okupu. W pełni popierałem jego

decyzję – płacenie okupu to najgorsze, co można zrobić w sytuacji porwania. Podjąłem decyzję o podjęciu gry z porywaczami.

Na czym ta gra miała polegać?

O dwunastej następnego dnia miał dzwonić porywacz. Tak się stało – zadzwonił, jednak telefonu nie odebrał Jarek, tylko ja.

– Rutkowski, słucham – powiedziałem.

– Nie gadam z Tobą, daj mi Jarka do telefonu – odpowiedział.

– Wykluczone. Albo gadasz ze mną, albo z nikim.

Porywacz wiedział, że nie ma specjalnego wyboru. Był w kiepskim położeniu – od porwania minęły blisko trzy doby, a z każdą kolejną ryzyko, że wpadnie, było coraz większe.

– Posłuchaj, k... – powiedział wyprowadzony z równowagi – jutro o dwunastej milion papieru.

– Spokojnie, bez nerwów. Najpierw chcę usłyszeć chłopaka.

– Wykluczone – powiedział.

– OK. Rozłączam się. – chciałem to zrobić, ale w tym momencie powiedział, że nie da mi chłopaka do telefonu, ale da inny dowód na to, że Piotrek żyje. Zaraz potem się rozłączył.

Skąd dzwonił?

Z budki telefonicznej, ale nie z dotychczasowego kręgu działania, tylko z oddalonej o 40 kilometrów od Olsztyna

– Ostródy. Zorientował się, że obserwujemy olsztyńskie budki telefoniczne i nie chciał ryzykować wpadki.

Pojechaliście sprawdzić tę budkę?

Wysłałem tam swojego człowieka, któremu towarzyszył śledczy prowadzący sprawę oraz technik policyjny.

Podobnie jak poprzednio porywacz odciął słuchawkę, ale na budce były odciski palców Andrzeja Bąka. Mieliśmy pewność – to on stał za porwaniem chłopaka. W międzyczasie moi informatorzy próbowali się dowiedzieć, gdzie może przebywać Bąk, ale bez większego skutku. Nikt nie wiedział, gdzie gość się zamelinował. Styl działania porywacza sugerował, że nie pracuje sam – że w całym porwaniu bierze udział jeszcze co najmniej jedna osoba. Naturalnym kandydatem do tego miana był jego dawny wspólnik w napadaniu na tiry, więc puściłem wici swoim informatorom, żeby dowiedzieli się o nim jak najwięcej. Kiedy czekałem na informację od nich, byłem w drodze do Ostródy, żeby rozejrzeć się po okolicy miejsca kontaktu. Miałem nadzieję, że zauważę coś, co będzie pomocne w śledztwie. W tym czasie zadzwonił na moją komórkę porywacz Piotrka – nie wiem, skąd miał mój numer telefonu – i powiedział, że dowód życia znajdę przy głównej drodze z Olsztyna do Tomaszkowa, na wysokości tabliczki informującej o wyjeździe z Olsztyna. W ciągu kilkunastu minut byłem na miejscu. Będąc w drodze, poinformowałem o treści rozmowy śledczego; mniej więcej w tym samym czasie dotarliśmy na miejsce wskazane przez porywacza.

Znaleźliście dowód na to, że chłopiec żyje?

Początkowo nie mogliśmy znaleźć niczego, co można byłoby za niego uznać. Po chwili jednak na poboczu drogi znaleźliśmy butelkę po wódce, a w niej zdjęcie chłopaka trzymającego w ręku gazetę lokalną z tego dnia. To nam wystarczyło, żeby się upewnić, że chłopak żyje – przynajmniej w momencie wykonania zdjęcia. Na podstawie zdjęcia nie można było jednak w żaden sposób ustalić miejsca jego przetrzymywania. Po godzinie porywacz zadzwonił, mówiąc, że dał nam dowód na to, że chłopiec żyje, a teraz chce pieniądze – następnego dnia punktualnie o 12.00.

W granicach godz. 11.30 miał zadzwonić, żeby wskazać miejsce przekazania okupu; planowałem mu powiedzieć, że rodzicom chłopca nie udało się zgromadzić całej sumy i musi jeszcze poczekać. Wróciłem do domu Miklasów, żeby przekazać im te informacje oraz tożsamość prawdopodobnego pomocnika porywacza. Oboje kategorycznie stwierdzili, że nie znają tej dwójki. Do tego stopnia byli stanowczy, że zacząłem mieć wątpliwości, czy są ze mną w pełni szczerzy. Wziąłem na rozmowę najpierw Hanię, potem Jarka, jeszcze raz Hanię i jeszcze raz Jarka. Hania wydała mi się wiarygodna, wierzyłem jej, że nie zna tej dwójki, Jarek natomiast wydał mi się podejrzany. Nie wiem dlaczego, ale nie wierzyłem mu. Podpuściłem go, że wiem, że zna Bąka jeszcze z czasów, zanim ten trafił do zakładu karnego i wtedy mi wszystko powiedział. Przyznał się, że bardzo dobrze go zna, podobnie jak Nieczasa.

PRZESZŁOŚĆ OJCA OFIARY

Kazał im porwać swojego syna?

Nie, nie. Jarek znał porywaczy, bo przed laty sam zajmował się małą gangsterką – napadał wraz z nimi na tiry. Jego kumple zostali złapani, on – nie. W trakcie procesu nie powiedzieli ani słowa o jego udziale w całym procederze. Kiedy wyszli z paki, przypomnieli sobie o nim. Tylko że on już wtedy był szanowanym biznesmenem, właścicielem dochodowych przedsiębiorstw, m.in. hurtowni stali. Przyszli do niego i poleciał krótki tekst: „My cię nie sprzedaliśmy, a robiliśmy razem temat, jesteś nam winien hajs”.

Jarek prowadził już w tym czasie legalne interesy, miał ochronę, układy w policji, dobre stosunki z prezydentem miasta. Wiedząc, że popełnione przez niego przestępstwa uległy przedawnieniu, powiedział chłopakom: „Spie... mi stąd! Nie robiłem z wami żadnego ruchu, więc wypie...!”.

Chłopcy się wkurzyli i zawinęli mu dzieciaka. Uznali, że kasa im się należy, a Jarek za dziecko wyłoży pieniądze. Zadzwonili z krótkim hasłem: „Bańka papieru, k...! Wszystko na ten temat”.

Musiał rozpoznać ich głos.

Oczywiście, że tak. Od początku wiedział, kto porwał mu syna. Gdyby od razu powiedział mi całą prawdę, prawdopodobnie chłopak już dawno byłby w domu. A tak znaliśmy tożsamość sprawców, ale nie mieliśmy porwanego. Chociaż i tak był to duży postęp.

Dlaczego więc nie powiedział?

Myślał, że jego przestępcza przeszłość nie ujrzy światła dziennego, bo Piotrek zostanie szybko znaleziony. I tak by było, gdyby zdradził nam tożsamość porywaczy. A tak straciliśmy czas na działania, które nie miały sensu, bo były wymierzone nie w tych ludzi, co trzeba. Zupełnie inaczej poprowadziłbym sprawę, gdyby ojciec chłopaka był ze mną szczerzy od samego początku. Jarek w trakcie naszej męskiej rozmowy zasugerował, w jakich miejscach porywacze mogli ukryć chłopca. Sprawdziłem ze swoimi ludźmi wszystkie z nich. Jednak w żadnym nie było chłopca. Miałem jednak wrażenie, że jesteśmy coraz bliżej pozytywnego zakończenia tej sprawy.

To jednak nie był koniec poszukiwań. Chłopaka dalej nie było.

Prawie koniec. Po niespełna godzinie Piotrek – zmęczony, głodny i wyczerpany – znalazł się na policji.

Tak po prostu?

Tak. To był niezwykle odważny dzieciak. Był przetrzymywany na pobliskich ogródkach działkowych, pilnował

go ciągle ten sam człowiek. Uważnie obserwował całą sytuację i dzięki temu poznał sposób zachowania porywacza. Był bardzo czujny. W pewnym momencie porywacz się zdrzemnął, a on wymknął się z tego domku, w którym był przetrzymywany i uciekł. Biegł, ile sił w nogach i gdzieś po kilometrze dotarł do głównej drogi, zatrzymał pierwszy nadjeżdżający samochód; kierowca pojazdu zawiózł go na policję.